

+ + +

Jeżeli zamierzasz pisać o tym mieście, mówi Dieter, to nie zapomnij, że kartki Twojej opowieści muszą pachnieć metalem, smarem, smołą, dymem z kominów fabrycznych. Inaczej możesz ją spokojnie wywalić do kosza.

+ + +

Dziewiątego listopada 1989 roku na dworcu w Kottbus nie było żywej duszy. Dieter rozglądał się po wszystkich peronach i własnym oczom nie wierzył. Nie było nawet psa z kulawą nogą. Po torach panoszył się wiatr. Gonił, popychał liście, porywał je do tańca. Aż Dieterowi wirowało w oczach.

+ + +

Całą noc z trzydziestego czerwca na pierwszego lipca 1990 roku drogami Niemiec Wschodnich, z Zachodu na Wschód sunęły niekończące się kolumny tirów. Uwik nie mógł spać, szumiało mu w uszach, zatykał je sobie watą. Pchał waty, ile tylko się dało. Cały się prawie wypchał.

+ + +

Uwik, Uwik, błagała siostra Koom, wybierz się koniecznie do doktora.

Lalka

W Chemnitz pojawił się ostatnio brodac z włóczką, który nic nikomu złego nie robi, tylko co jakiś czas głośno i niegrzecznie utyskuje. Świnie, chamy, zboczeńcy, nie pozwalają wyczerpać środków prawnych, biurokracja, arogancja, alienacja, żeby o dwa tygodnie termin przedłużyć cały tydzień po sądach trzeba biegać, gazety powyrzucali, tam były przecież zdjęcia, świadectwa, liście klonu, list ostatni od dziewczyny. Oszustwo, woła, świństwo, grabież. Nie znają się na artykułach, paragrafach, aktach prawnych, niedouczeni, rozpieszczeni, rozwydrzeni.

Włóczką ma bladoniebieskie oczy. Czasem przepowiada przyszłość, katastrofę społeczno-klimatyczną. Czasem prosi o butelki do zwrotu. Czasem o jakiegoś banana. Czasem mówi: to był bufet, panie. Ślub z nią, mówi, ślub z nią to nie. Czasem wydrze komuś jakąś gazetę. Bywa, pojawia się w berlińskim metrze. Własne wiersze ludziom na głos recytuje, chichocze, żebrze złośliwie. Nawet zimą w sandałach chodzi, dobrze się nie ubierze, taki powykręcany, przygarbiony. Tramwajom pięścią wygraża, automaty biletowe kopie. Mówi że nie wie, czy jest prawy, czy lewy. Śpi podobno gdzieś w ogródkach działkowych, ludzi straszylem – strachem na wróble – straszy, głową lalki nadzianą na kij. Dzieci przed nim uciekają. Rzuca za nimi wiórami, piórami.

Respons

Tak Dieter zapamiętał swoje pierwsze spotkanie z Uwem. Był wówczas w wojsku, rekrutem świeżym, przed przysięgą jeszcze, w dalekim mieście Schwerin. Siedział tam wraz z kolegami podoficerami w miniaturowym pokoju pięcioosobowym na kancie żelaznej, piętrowej pryczy, pokrytej kołdrą w biało-niebieską kratę. Nagle jakby jaśniej się zrobiło wokół, wszedł jakiś bardzo wielki młody człowiek, prawie dwa razy taki jak Dieter, i rzucił na jego łóżko kolorowe pastylki „nimm zwei“. Rzucił je wszystkim chłopakom, zupełnie jakby od niechcenia, na luzie, całkiem cool, na łóżka. Jakby piaskowy dziadek piaskiem sypnął. A przecież wiadomo było, że te cukierki pochodzą z Zachodu. Zawsze zresztą, także i później, miał jakieś fidrygały stamtąd. Nie, no oficjalnie zabronione to nie było, ale nikt oprócz Uwy by się na to nie odważył, nie było to mile widziane, to była normalna prowokacja. Ten to ma odwagę, myślał Dieter, Zachód przemyca do koszar. Na przykład żel pod prysznic *respons* pachnący zielonym jabłuszkiem albo wodę po goleniu *Irish moos*. Skąd on w ogóle to miał? Dieter nie wiedział jeszcze, że Uwik miał sposoby, żeby nie będąc rencistą emerytem przedrzeć się czasem na Zachód. Szedł na policję z kolegą inwalidą, a takim wyjeżdżać było wolno, pchał go troskliwie na wózku, ściemniał, że się nim opiekuje, i do Berlina, zwłaszcza Zachodniego, przecież go samego nie puści. W razie problemów kolega dostawał ataku, spadał z wózka, skręcał się i zwiżał, i sprawa bywała załatwiona.

Ten nonszalancki rzut cukierkiem bardzo Dieterowi zaimponował i zapamiętał sobie dużego, męznego chłopaka, mimo że ten tego wieczoru wcale z nim nie rozmawiał, miał inne sprawy na głowie, coś ustalał z kolegą z Chemnitz, Falkiem Bär, tak zwanym Bärfalkiem (bo w Chemnitz najpierw mówiło się nazwisko, potem imię), tak zwanym Falkonettim. Nie wiedział jeszcze, że to Dieter stanie się wkrótce jego przyjacielem na całe życie, na dobre i na złe, że będą jak Flip i Flap.

Finanzial Times

Uwik – duży, wielki chłop po czterdziestce z coraz większym zakolem na głowie i wycieńczonym wyrazem twarzy, szarą cerą i długimi, nieskoordynowanymi kończynami, jakby utknął w samym środku okresu dojrzewania. Niekorzystnie wychodzi na zdjęciach, zgięty, pomarszczony, przytłoczony życiem, a Dieter robi mu ich mnóstwo na wspólnych wyprawach na kajaki, podczas wieczorów przy ognisku w Słowacji, w małych źródelkach górskich, całkiem nago, jak leży na kamieniach i pozwala opływać się wodzie, gładzić falom, pieścić podmuchom wiatru. Chociaż na zdjęciach wygląda jak trup, Uwik jest wtedy lekki, najszcześniejszy, bezpieczny. Ale nie to, żeby Uwik całkiem zdiadział. Chociaż na spotkaniach klasowych tak się ludziom trochę wydaje i dziewczyny zaczynają sobie o tym szeptać coś do ucha, że kto to niby jest ten dziad. Może Uwik nie zachował wyglądu, Uwik jednak zachował klasę. Nawet nie mając kasy. Potrafił robić przyjaciółom prezenty, rozrzucić tak po prostu swoje dary, nie chcąc w zamian zazwyczaj nic. Bratu na urodziny kilka ciężarówek drewna na opał, mówi Dieter, drobniutko posiekanego, pięknie poukładanego, niczym dzieło sztuki. Siostrze na Boże Narodzenie kupon na 20-krotne odśnieżanie samochodu o piątej rano zanim wyjedzie do pracy.

I Uwik naprawdę wstawał, zasuwiał przez całe Chemnitz, pilnie szuflował śnieg, a potem, w domu, wyglądając przez okno w kuchni, odcinał kupony od tej charytatywnej akcji. Czuł się przyjemnie zmęczony, policzki miał czerwone, cały gorzał. Życie wracało do wszystkich jego członków, z jakiegoś wewnętrznego źródła bić zaczynała energia, mrówki przyjemnie rozchodziły mu się po palcach. Wtedy zazwyczaj udawało mu się jeszcze upolować jakiś korzystny konkurs z nagrodami w gazecie i za setki znajomych brał w nim pośpiesznie udział. Kiedy listonosz przynosił Dieterowi jakąś niespodziewaną paczkę, wiadomo było że to wygrana, którą zawdzięcza Uwe, jakieś urządzenie do robienia wafli czy krajania jajek, jakiś komplet noży, jakaś solarna lampa na balkon z kloszem w kształcie głowy Mikołaja – „Pozdrowia Haus & Hof”. Uwe polował na tego typu atrakcje. Matce załatwił roczny abonament „Finanzial Times”, a do tego dostała jeszcze odkurzacz bezworkowy. Lubił sprawiać ludziom radość, zachowywać się jak krasnoludek. Przykładem był mu, jak twierdzi Dieter, „Timur i jego drużyna”. Czy wyście tego w szkole, pyta, nie czytali? Nie czytaliście „Jak hartowała się stal”?

Łatwy łup

Tak dokładnie nie wiadomo, po co Uwe trzymał swoje stare mieszkanie, czemu do niego nieraz kilka razy w tygodniu zaglądał, robił obchód, wietrzył zagnieżdżone tam upiory. Chodził na nie pohukać, hu hu. Znaleźć któryś tam numer „Freie Presse” albo „Lausitzer Rund-

schau”, a przechowywał wszystkie od co najmniej piętnastu lat, pięknie poustawiane rzędami, wieżami, w czterech nieumeblowanych pokojach secesyjnej kamienicy w przemysłowym mieście Chemnitz, Keme, jak mówią Saksończycy, z polską po prostu Kamieńcu. Był tam jakiś artykuł o wystawie instalacji artystycznych jego kolegi z orkiestry młodzieżowej, ktoś go o to ostatnio nagabywał. W tym upiornym domu nie mieszkał już więcej nikt, tylko Uwik miał tam swój skład, tylko Uwik trzymał posterunek niczym Ślimak Placówkę i nie dawał się ewakuować. Wody tam już nawet nie było, prądu, wszystko się waliło, a czasem i paliło nawet. Bo właściciel chciał się go pozbyć podpalaniem. Lecz Uwe uparty był. Do wszystkich mieszkań, pootwieranych, opustoszałych, dzikich, pozawieszał poźółtkę, babciowe firany Bóg wie skąd, żeby rabusie nie myśleli, że tu nikogo nie ma, że będą mieli łatwy łup. Więc gdy Uwe miał więcej energii, siedł na obchód, wietrzył, segregował, potykał się o kartony po bananach porostawiane na wszystkich pięciu piętrach klatki schodowej. Dieter to by się był bał. Dieter to by się nigdy do takiej ruiny nie pokusił. Dieter kochał i szanował swoje życie. A Uwe lubił być jakoś tam chodzić. Właściwie nawet od jakiegoś czasu nigdzie nie czuł się lepiej. Czuł się tam prawie jak w strumieniu. Zrzucił wszystkie maski, pozbywał się wyobrażeń, poglądów, ról. Oswajał się z pustką, z milczeniem, smakował najprostszymi doznań zmysłowych. Siadał wśród filarów gazet, kładł się w uliczkach między skamieniałymi wieżami z papieru, patrzył przed siebie, nasłuchiwał. Czasem nachodziło go jakieś wspomnienie. Stukot maszyny do pisania nocą w pokoju rodziców. Gładki policzek Julity. Jej kaligraficzne pismo, *Kocham cię, kiedy wrócisz! Może ja mam przyjechać do Ciebie!* Karta świąteczna z pozytywką nieprzystającą grać, bucząca przeciągle na podłodze.

Z kamienicy naprzeciwko dyskretnie obserwowała go sąsiadka.

Perspektywa

Czasem widziała, że coś robił, czytał, przeglądał gazety, zapominał o bożym świecie i całymi sznurami, kolumnami godzin, nie wiedząc czy jest dzień czy noc, bez snu i posiłku, przekładał zadrukowany papier z jednego wieżowca na drugi, chłonał druk całymi metrami, całą historię *odmiany* miał praktycznie w jednym palcu, mógłby pojechać do Berlina i napisać o tym wszystkim doktorat. W zimie stawiał sobie mały piecyk i rozgrzewał go do czerwoności. Czemu tak kochał to mieszkanie. Czemu nie mógł go opuścić naprawdę. Sąsiadka z naprzeciwka pamiętała jeszcze czasy, gdy Uwe był młodym chłopcem, gdy mieszkanie należało do jego brata. Brat miał żonę i dzieci, Uwik często ich odwiedzał, sypiał u nich, bawił się z dziećmi. Kto wie, kombinowała sąsiadka, która za tamtych czasów była młodą, wesołą dziewczyną, może było to jednym z najpiękniejszych wspomnień jego młodości. Nie chce zniszczyć ani oddać nikomu śladów tego domu, tej rodziny, tej idylli, która dawno już się

rozpadła, brat się rozwiódł i mieszka w altanie. Tyle o tym wszystkim wiedziała. Przypuszczała, że w sercu Uwika zwija się jakaś tęsknota.

Kiedy Uwe siadywał przy okrągłym, rodzinnym stole przy oknie i patrzył na syjące się z nieba płatki śniegu, nie czuł nic. Może tylko, że za skarby nie odda tego skrawka siebie. Miał wrażenie, że ten dom jest nim, że to jego przestrzeń wewnętrzna, która przybrała postać materialną, i że on po niej ostrożnie się porusza. Że to jego krajobraz duszy. Chociaż takiego słowa nigdy by nie użył. Czasem śniło mu się, że w mieszkaniu przybywa niezbadanych, zaniedbanych, zapuszczonych zakamarków i pokoi, że zaczyna się nawet ich bać, że to wszystko przybiera postać nieprzejrzystą. I wtedy nagle, w najbardziej niepokojącym momencie jakaś ściana rozświetlała się oknem z widokiem na przepiękny, rozległy krajobraz. I było to jak olśnienie. Aż nieraz odwracał oczy porażony jasnością światła, aż oddechu mu brakowało. W takich chwilach sąsiadka gwałtownie zasłoniła zasłonę.

A kiedy kładł się spać, obojętnie zresztą, w którym ze swoich mieszkań, to jakoś tak inaczej niż wszyscy. Wchodził w poszewkę kołdry jak w śpiwór, w ten sposób zaoszczędzał na prześcieradle. Na to zarzucał sobie jeszcze koc albo ciepłą wełnianą kołdrę i kulił się w sobie. Nawet jeszcze za NRD-owskich czasów. Tak się czuł najlepiej. Tak najbardziej lubił spać. Zresztą Uwik w ogóle bardzo lubił spać, z wiekiem coraz bardziej. Im dłużej był na zasilku, tym częściej i za dnia się pokładał, żeby sobie chwilę odsapnąć. Nie czytał też już wcale książek. Jedyne co czytał, poza gazetami, to prospekty reklamowe, z Aldi, Plusa, Lidl, różne broszurki turystyczne, czasem mapy.

Gdzie heblują

Od czasu do czasu Uwik jeździ na rozmowy kwalifikacyjne do Berlina albo do Monachium, choć wiadomo, że po siedemnastu latach bezrobocia żadna firma już go nie zechce. Kiedy ma ochotę na jakąś wycieczkę, do jakiegoś konkretnego miasta, chce zwiedzić kumpla, wystawę, kochankę, to stara się tam o pracę, robi wszystko, by zaprosili go na rozmowę. Jobcenter płaci, Uwik jedzie, tak to funkcjonuje. Specjalnie się na rozmowach nie wysiła, raczej szczerze mówiąc wręcz przeciwnie, tłumaczy firmie, czemu się nie nada, i udziela dyrektorom wskazówek. Bardzo ciekawe, mówi, są to czasem konwersacje, bardzo przyjemni, nie powiem, ludzie. Wieczorami koncentruje się na kulturze i sztuce, na naprawie roweru Dieterowi, samochodu dziewczynie Dietera, wysiadanie z nimi na balkonie i parodiowaniu sloganów epoki: *gdzie heblują, tam wióry lecą, nikt nie obiecywał, że będzie lekko, wszyscy musimy teraz porządnie zacisnąć pasa*. Mogliby do kabaretu się zapisać. Po co Uwikowi praca w Monachium albo w Essen, Uwik i tak by się nie przeprowadził, nawet gdyby robotę gdzieś dostał. Kto by się wówczas zajął matką? Matka z Kemz się przecież nie ruszy, przywią-

zana do tej kamiennej głowy Marxa przed siedzibą PDS jak diabli, żartuje nieraz sobie. I do napisu na fasadzie: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się”. Bo kapitał, tłumaczy mi Dieter, już dawno się, rozumiesz, był połączył.

Matka Uwe raz już z Prus Wschodnich, spod Królewca uciekała, to wystarczy. Potrzebuje Uwego, bo Uwe pomaga jej oswoić dzisiejszy, coraz trudniejszy, coraz bardziej techniczny i elektroniczny, wirtualny i cyfrowy świat, z którym ona sobie rady nie daje, z którego błyskawiczny rozwój cywilizacyjny ją wyklucza, i ona dryfuje wstecz. A on sam jej jeszcze bardziej potrzebuje.

Kiedy Dieter pewnego razu zasugerował Uwikowi: Uwik, u mnie w pracy, w firmie Watentfall, szukają inżyniera budowy maszyn (którym Uwik notabene był), Uwik mu na to: Dobrze, rozejrzę się, nie ma sprawy, zapytam jednego kolegi.

Kallemalle

Tak więc zaczęła się ich przyjaźń. Po sześciu tygodniach znaleźli się z Uwem w jednym pokoju koszarowym. Dla Dietera to znowu objawienie, czysta iluminacja do kwadratu. Uwik pochodził z Karl-Marx-Stadt, a wszyscy, których Dieter spotkał w armii, wszyscy pochodzący z Karl-Marx-Stadt, czyli *Kallemalle*, to była absolutna awangarda, to jest ciężka awangarda aż do dziś i nawet Prenzl Berg jej nie podskoczy, zwłaszcza dzisiaj, kiedy tubylców już tam prawie nie ma. A w Kallemalle, dawniejszym i dzisiejszym Chemnitz, już w latach dwudziestych zeszłego stulecia kultywował się ekspresjonizm! Już rozprzestrzenił się był Bauhaus, funkcja, estetyka, konstrukcja. Było to miasto przemysłowe, fabryczne, niesamowita, najbardziej produktywna i piorunująca mieszanka sadzy, osiadającego na fasadach domów i ludzi ciężkiego oddechu metalu, potu wyzyskiwanych robotników, i powiewu nowatorskiej, bezpretensjonalnej, bezpardonowej sztuki. Najbogatsi fabrykanci wznosili tam sobie potężne wille w stylu Bauhausu właśnie – na wzgórzach, z widokiem na miasto pełzające u ich stóp. Stamtąd pochodził Uwik Uwikowski Uwe. Stamtąd rekrutowała się scena artystyczna minionej NRD – galerie, instalacje, wernisaże, teatry lalek i ludzi, a wszystko podszyte duchem opozycji i zabarwione ciężkim zgrzytem maszyn, kłaniam Ci się, Dieter.

W Kallemalle mieli nawet orkiestrę dla młodzieży – kolebkę tych wszystkich alternatywnych intelektualistów opozycjonistów. A Uwik grał w niej, trąbił bluesa. Był to najpiękniejszy okres w jego życiu. Jeszcze ważniejsze od trąbienia były pauzy między próbami, podczas których pomieszczenia domu kultury zamieniały się w wielkie targowisko i wymianę informacji o artystach z podziemia, malarzach, mistrzach happeningu z Lipska czyli Lajpc, i o tym, kto kogo zna. Kto zna tych buntowniczych, niekonwencjonalnych kryjących się po górach Harzu hipisów, potem punków. Bo to właśnie na stokach tych gór, na uboczach-

-marginesach-rubieżach kwitło intelektualno-artystyczne życie republiki, dudniła tzw. scena DDR-u. Wystarczyła jakaś odległa knajpa z podestem, do której nieraz 20 km trzeba było brnąć piechotą w środku zimy... Tam właśnie, dumnie zeznaje Dieter, tam toczyło się ŻYCIE. A wasz ulubiony dowcip: „Dlaczego w NRD nie było opozycji? Bo było to zabronione” możesz sobie podarować.

Chmury

Uwik zawsze należał do ludzi nie płynących z prądem, niegnających z duchem czasu i systemu. Dlatego też za czasów DDR-u zapisał się do „Młodej Wspólnoty”, organizacji kościołów chrześcijańskich skupiającej młodych niepokornych, z długimi włosami, myślących kontra, inaczej, znaczy – opozycyjnie. Chyba głównie o to mu chodziło, o jakiś skromny udział w opozycji, bo wierzącym przecież nie był na pewno. Sam Dieter raz tylko jeden poszedł z kolegą na *Christenlehre* i słuchał z płonącymi uszami pasjonujących baśni i legend. Kiedy wrócił do domu, czekał już na niego ojciec z pasem, matka z trzepaczką od dywanów. Nie zdążył nawet wypchać spodni watą. No więc wierzący to Uwik – zdaniem Dietera – nie był na pewno, co tu dużo mówić. Chociaż nigdy o tym nie mówili, więc tak naprawdę diabli wiedzą. W każdym razie kręcił się zawsze wśród rebeliantów i ludzi z marginesu, bez których nasze życie byłoby smutne i ponure. Siedział właśnie w domu parafialnym, gdy kolega uchylił drzwi i nadmienił: „Tę, Uwe, wiesz, że runął mur?”. Uwe Kaiser wyprostował się jak sznur.

Dieter w tym czasie robił jakąś praktykę studencką we Wrocławiu, miał oficjalne zaproszenie, jakie wtedy było wymagane. Dziewiątego listopada 1989 roku o godzinie osiemnastej pociągiem osobowym opuścił Berlin Wschodni w kierunku Południowej Brandenburgii, nie zdając sobie sprawy, że właśnie coś się stało, że coś się bardzo odmienia. Tylko na dworcu Kottbuss, gdzie się przesiadał, jakoś tak dziwnie pusto było, *kein Mensch, kein Schwein*, tylko liście, tylko wiatr. Dziwne więc chwyciło go przecucie. We Wrocławiu zaszył się w jakimś klubie, leciały tam wiadomości, włączony był telewizor, w telewizorze Brama Brandenburska, masy ludzi tańczące na berlińskim murze. Równie dobrze mogłoby być na chmurze!

Mignął mu wśród nich Falkonetti.

Polscy studenci w klubie pili – swawolili, Dieter nic z tego wcale nie rozumiał, jak zrobili taki videoklip, jakiego tricku użyli, do jakiego właściwie songu, kręcił głową i wzruszał ramionami, aż w końcu ktoś mu wytłumaczył: *the wall is break down, Du Dummkopf*. Jesteś Dederonem, człowieku? Bracie, od dzisiaj jesteś wolny. I protekcjonalnie wziął Dietera w ramiona.

Julita spędziła ten dzień na placu zabaw w Wanne Eickel i niewiele ją to wszystko obchodziło. Siniaki ukrywała pod dużą warstwą makijażu. Do mamy bała się pisać.

Ciule

W wojsku Uwe znalazł się z głupoty, na takiej samej zasadzie jak Dieter. Panowały wówczas takie zasady, że kto pójdzie do wojska na trzy lata, dostanie stypendium na studia. Ledwo chłopcy wpadli w kleszcze armii, deklarując swój trzyletni w niej udział, ciach trach, zasady się zmieniły, i naczelny FDJ-otu Egon Krenz zarządził, że wszyscy studenci będą mogli otrzymać stypendium. Jedyną pociechą miało być sto marek wschodnich więcej...! Dla tych po trzyletnim wojsku trzysta, dla wszystkich innych dwieście na miesiąc. W sumie więc za pięć tysięcy marek wschodnich oddali państwu, jak ostatnie bałwany, trzy lata cennego swego życia, po którym dla nich nie ma już nic. Sprzedali jakby swoją duszę. A więc i Uwik dał się uwikłać, ten niezależny, suwerenny Uwik! Ale on, podobnie jak wszyscy z Kallemalle, zupełnie inaczej do wojska podchodził, nie tak naiwnie głupio, tak strasznie prostodusznie jak Dieter. Dieter dawał się zastraszyć i zahukać, nie miał do tego, co się działo, absolutnie żadnego dystansu. A ci wysocy chłopcy z metropolii zupełnie jakby połknęli wszystkie dzisiejsze poradniki o życiu szczęśliwym – zdawali sobie sprawę, że wojska nie zmieniają, że mogą zmienić tylko swój stosunek. Do przełożonych więc żywili dystans. Gdy oficer nimi pomiatał, oni uśmiechali się w duszy. Ba, nawet czasem za plecami lub i przed oczami żarty sobie stroili, pojedynki na miny robili, i nikt ich nigdy palcem nie tknął! Raz gdy jeden oficer odwrócił się na chwilę, Falkonetti rach ciach wspiął się na pięć metrów po ceglany murze koszar bez żadnego wyposażenia i nawet okiem nie mrugnął! Prawie na tę ścianę wbiegł, a dzisiaj jego syn jest alpinistą. Podczas gdy Dieter, wystarczyło, że tylko szczerze spojrział, i już się go wysyłało do nocnego obierania całych wanien ziemniaków lub co gorsza cebuli, albo obcinało się urlopy i przepustki, albo – w najlepszym razie – kazało się robić niezliczone ilości pompek lub obiegów wokół obiektu. Przyłapywali go na najgłępszym gównie, jak to się po niemiecku mówi. A czasem i na mądrzejszym, jak na przykład na kasetach Biermanna w szafie, czy na prowadzeniu dziennika. Podczas gdy Uwik i jemu podobni zachowywali się tak, jakby nic ich wcale nie ruszało. Gdy oficer podczas macania kontrolnego na porannym apelu stwierdzał, że Uwemu odrasta broda, Uwik golił się tylko na tej stronie twarzy, której ten był dotknął „ciule”. W ten sposób zachowywał godność i cześć, w ten sposób się nie poddawał. Do następnego poranka. Stąd też do dzisiaj broda mu rośnie nieregularnie i po tym można go łatwo zidentyfikować.

Tatuś

Bywały i inne akty. Co wieczór żołnierze na korytarzach koszar pracownicy czyścili porożkowaną na małych taboretach broń, a biada jeśli komuś coś spadło! Cały korytarz roił się od rekrutów z pistoletami maszynowymi kalasznikow – tak zwanymi MPI. Rozkładali je na

czynniki pierwsze i głaskali. Broń jest narzeczoną żołnierza, tłumaczył im oficer, akurat. Przy okazji tego typu akcji jeden z przyjaciół Uwika, ten który później został gwiazdą rocka, wznosił pieśni z Wiosny Ludów i porywał innych za sobą. Z jednej strony nic nie można było im zarzucić, bo to pieśni były rewolucyjne, z drugiej zaś dla wszystkich było jasne, że ostrze śpiewu mierzyło w NVA, że to protest antypruski, przeciwmilitarystyczny. Podczas gdy Dieter tylko patrzył z otwartą buzią, nie grzesząc nawet bladym pojęciem o co biega, oni normalnie śpiewali. Osiemdziesiąt procent z nich to byli świeżo upieczeni maturzyści za którymi, podobnie jak za nim, kilka tygodni temu zatrzasnęła się z hukiem potężna, żelazna brama jednostki. Dieter, jeśli Dieter nakręci o tym kiedyś film, to tak właśnie, takim kadrem będzie się zaczynał. Jeśli Dieter nakręci o tym film, mimo że nie jest reżyserem, mimo że wyłądownął po przełomie w jakiejś zafajdanej administracji firmy Wattenfall i godzinami puszcza baki w stołek. Jeśli on nie nakręci tego filmu, to wszystko mu się kiedyś pokręci. Już własnemu synowi szkoła w głowach przewraca, sieczkę mu z mózgu robi. Nauczyciel Herr Neumann mu wpaja, że to była dyktatura porównywalna praktycznie z faszystowską. Że wszystko to był tylko przymus, że niczego nam nie było wolno, że wciąż zajęcia pozaszkolne w kolektywie, brak wolności, różne takie komunały-dyrzymały. Synek przychodzi i mówi: Tatusiu, wiesz, ja chyba bardziej jednak wierzę Neumannowi. Bo ty byłeś w środku, byłeś tatuś normalnie jednym z nich, i ja się teraz bardzo wstydzę.

Mama

Po zwolnieniu z wojska Uwik rozpoczął w Dreźnie studia budowy maszyn. Silnikami, motorami, maszynami interesował się zresztą już od chłopca, od tych lat, gdy w łóżeczku, nocami, po Drogim Dziadku, czasem Bolku-Lolku, niekiedy po Czterech Pancernych słuchał równomiernego stukotu maszyny do pisania ojca taksówkarza, który pracowicie liczył dochód i przychód. Bo małym przywaciarzom w NRD-ówku, żyć no przecież pozwalali. *Do dziesięciu tysięcy zatrudnionych!*, pytam. *Do dziesięciu osób, głąbie*, na to Dieter. *W ogóle jak ci wszystko mam mówić, to już lepiej sam bym wziął napisał.*

Ojciec Uwego tym życiem przywaciarza się wykańczał. Żeby zachować niezależność od reżimu, całymi nocami woził ludzi albo stukał na maszynie, żeby rozliczenia były w porządku, żeby nie podpaść, nie dać się przyłapać, a życie cichaczem czmychało, przesuwało się obok niego, aż się mu całkiem wymknęło. Zmarł na zawał serca, mając pięćdziesiąt kilka lat. Uwemu świat się zawalił.

Kilka razy oblał Uwik w Dreźnie matematykę i w końcu go z tych studiów wywalili. Musiał się przenieść do jakiegoś fachowego studium w Miśni nad Łabą, coś mu tam ze studiów uznali, czuł się jak w szkółce, nie miał najmniejszych problemów. Pracował po-

tem przy produkcji automobilów, w Barkas-Werken w Karl-Marx-Stadt, wcześniejszym i późniejszym Chemnitz, mieście świadomego swej wartości, prężnego proletariatu. Produkowano tam na zlecenie Volkswagena silniki dla Golfa, które głównie eksportowano, a częściowo wbudowywano do silników enerdownskich, do Wartburga. Współpracowano z Wolfsburgiem w RFN-nie, wspólnie się nawet szkolono, można było powyjeżdżać na Zachód. To dopiero były czasy. Uwik napracował się był wówczas za całe życie. Nigdy później tak nie pracował. Można by powiedzieć, że później w zasadzie wcale nie pracował. Bo go po odmianie zwolnili na amen. Jak dziesięciu innych? *Tysięcy*. Wyrzucili, jak się mówi, na bruk. *Ty nigdy nie czytałaś „Kapitału”!*

Adwokat

Całą noc z trzydziestego czerwca na pierwszego lipca 1990 roku, w noc zjednoczenia walutowego, szumiał mu w uszach warkot sunących całymi kolumnami ciężarówek. Tym razem nie były to kolumny armii radzieckiej, tylko karawany potężnych tirów z zachodu. Wieźli pomarańcze i banany, wieźli Chemnitz, i prawdziwą coca-cola, persil, jakobskrönung, respons i irish moos. Zabierali, wydzierali, wypieprzali (*na śmietnik historii napisz*) werder keczup, thüringer pflaumenmus, Karl-Marx-Stadt i spreewälder gurken. *Dodaj jeszcze Bautzener Senf*. Powywozili nie wiadomo dokąd. Na śmieci powyrzucali mięso, mleko, jaja, ser. Cały dzień, całą noc, całe jeszcze potem tygodnie na szosach republiki stali wycieńczeni chłopcy z PGR-ów, próbując prywatnie opchnąć socjalistyczne ziemniaki, marchew, kalafior. Całe zbiory im gnily na polach. I szlag po prostu ich trafiał. I normalnie na tych szosach płakali. Bo już nie mogli tego sprzedać do Kaufhalli. Bo Kaufhalle nowe, zachodnie umowy popodpisywali.

Ani jeden z produktów wschodnich nie pozostał na półkach. Kiedy rano Uwik poszedł po mleko, zachwiał się lekko na nogach. Miał wrażenie że jest w obcym kraju. Błąkał się po sklepie jak pijany, kupił w końcu pudełko zapalek.

Bardzo długo się nimi bawił.

+ + +

Potem niektóre te keczupy i club-cole wróciły, ale już produkowane na Zachodzie.

Wkrótce, jak wiadomo, go zwolnili i wtedy Uwe poczuł, że odebrano mu coś, czego aż tak bardzo znowu nie żałuje. Że może teraz będzie mógł rozwinąć bardziej skrzydła. Chciał od dawna wszak żyć w wolnym kraju. Walczył o to w „Młodej Parafii”. Doszedł do wniosku, że tak naprawdę interesuje go prawo i sprawiedliwość, przestępstwo i machlojka, zbrodnia

i kara, bo coraz trudniej było mu to wszystko zdefiniować, bo już nie mógł się w tym wszystkim połapać. Lecz na studia prawnicze się nie dostał, a może nie mógł ich za bardzo sfinansować, tego sama tak naprawdę nie wiem, a Dieter też Bogiem nie jest. Pewnie to było tak: Gdyby Uwik studiował, nie dostawałby zasiłku, i o to zapewne mu chodziło.

Więc Uwe zakradał się na uniwersytet tylko jako wolny słuchacz i co jakiś czas coś sobie prawniczego zupełnie bezinteresownie zaliczał.

Zielenia Góra

Uwik jak my wszyscy inni, mówi Dieter, urzeczony był Słowiankami. Wciąż wyjeżdżaliśmy na jakieś studenckie obozy pracy, i nie tylko, a to do Zielonej Góry a to na Dolny Śląsk, a to gdzieś do Czechosłowacji. Uwik gdzie się dało nawiązywał znajomości, sezonowe przede wszystkim miłości. Potem przechowywał adresy niezliczonej ilości dziewcząt, do których czasem zaglądał był po pięciu, dziesięciu i dwudziestu latach, nie uprzedzając żadnym cynkiem. Stawał po prostu w drzwiach jak ten Rosjanin z berlińskiej grupy „Rotfront” śpiewający w „Russendisco”: *Zdrastwuj Żenia, Żenia eta ja, nieuzeli nieuznała ty mienia! Iz Germanii k tiebie ja prilietiel i k ljubvi priznatsja ja chatiel. V rukie majej cwiety... za muž wyszła ty.* Tyle że Uwik do żadnej miłości przyznawać się broń Boże nie kwapił, a ślubu bał się bardziej niż diabeł święconej wody. Co do Julity, to nie miał czystego sumienia. Nie wiem, co on jej powiedział. Nie mam pojęcia, co jej zrobił. Na wszelki wypadek omijał Jawor dużym, szerokim łukiem. Raz kiedyś nam się zwierzył, że boi się, że mógłby tam, za płotem, zobaczyć polskiego chłopca o swoich własnych rysach twarzy, i rany boskie co wtedy.

Dzięki Julicie przeleciał się raz samolotem. Kiedyś w połowie lat osiemdziesiątych – w ramach obozu pracy budowali w Polsce jakąś drogę szybkiego ruchu, malowali płoty, poręcze? Julita zaprowadziła go na małe lotnisko. Pilot, jakiś kuzyn Julity, zgodził się go zabrać na lot. Gdy szybowali nad Dolnym Śląskiem, Bogatynią, nad złożami węgla brunatnego, już w Brandenburgii prawie, nad gigantycznymi rowami, koparami, i do światła granicy się zbliżali, polski pilot zbił go z tropu pytaniem: „Gdzie lądować: Tempelhof czy Tegel? Nie jesteśmy tu przecież dla rozrywki”. Uwe Kaiser oddech wstrzymał. Uwik dostał stracha jak nigdy. Nie mógł wytłumaczyć Polakowi, że na Zachód się nie wybiera. Schbigniew pokrzyżyl i zawrócił, z pogardą wypluł Uwę w Jeleniej Górze i znacząco popukał się w czoło.

Berlin Alexanderplatz

Potem z przyjazdami do Polski było coraz gorzej... Od czasu stanu wojennego granice Polski dla Enerdowców były dość szczelnie zamknięte. Gdy w wojsku enerdowskim ktoś się za bardzo buntował, zaczepiali go podejrzliwie: *Solidarnoscht oder was!!!* Brzmiało to już

prawie jak „NATO”. Honecker miał obawy, że iskra buntu z bratniego kraju przeskoczy na nich jak pchła, jak Wałęsa przez stoczniowy płot. A więc jeździć nie było wolno, chyba że na specjalne zaproszenie i na specjalne pozwolenie, na przykład na tak zwane „Międzynarodowe Lata Studenckie”, w inny sposób nie można było się przebić. Tak więc dla starych Enerdowców skończyły się czasy buszowania po szczecińskich sklepach z wikliną, dla młodych czasy zapychania się mleczkami w tubce i delektowania pepsi-colą. O Julicie Uwik nie wiedział nic. Nie wiedział, że tej samej nocy, której wracał z wojska do świata i wysiadał na Berlin Hauptbahnhof, żeby odwiedzić Dietera w internacie i zabrać się z nim na tańce, że tej samej nocy, wtedy kiedy on właśnie tam wysiadał, w tym samym momencie, jak na filmie, Julita pociągiem z Poznania przez Rzepin gnała jak wichur na zachód. Jej pociąg prawie otarł się o Uwika, świsnął, zastukotał, nie zatrzymywał się w Berlinie, prul tranzytem na zachód, tej nocy, nocy Wszystkich Świętych, nocy Halloween, duchów, strachów, wampirów, upiórów. Uwodził Julitę, wyrwał z korzeniami Julitę, uchodzącą do innego Hansa-Klause, uciekającą do Wanne-Eickel, Castrop-Rauxel, Herne Zwei, ocierającą chusteczkami łzy, rozmazującą staranny makijaż, nie wiedzącą, czy ją kiedykolwiek jeszcze wpuszczą do Polski. Torba, którą w Rzepinie umieściła na górnej półce przedziału, spadła jakiejś babie na głowę. Wyjazd zaczął się zgrzytem, piskiem i jazgotem.

Mogli byli się otrzeć pociągami, on na wschód, ona na zachód. Ale Uwik nie miał o tym pojęcia. Gdy wyskoczył z pociągu linii Schwerin-Berlin otrzepał dumnie swe cywilne ciuchy, wsunął się w s-bahn jak w sweter, z s-bahnem w tunel się wtulił, a potem ruszył na podbój placu o nazwie Alexander Platz.

Owca wełna

Ale takich adresów, takich dziewczyn Uwik miał więcej, to nie była tylko Julita. Wszędzie rozrzucał cukierki, budził nadzieje i nie pojawiał się nigdy więcej. Wierny był w sumie tylko, chyba tylko tak naprawdę, Dieterowi. Kobiety chciały za dużo. On był hojny, ale hojny hurtowo, wszędzie lubił rozsiewać ziarna, lecz nie kwapił się zapuszczać korzeni, nie to że nie chciał, jakoś nie mógł. Coś w nim takiego było. Bo niektórzy mężczyźni tak mają. Potem zawsze kogoś Uwik rezerwował sobie w Berlinie, robi tak do dnia dzisiejszego. *Ich habe einen Koffer in Berlin*, śpiewała Marlena Dietrich i Uwe też zawsze zostawiał jakąś walizkę w Berlinie u kobiet coraz mniej podobnych do tych, które kiedyś adorował w Polsce i w Czechosłowacji. Bo te wszystkie Polki-Czeszki już powychodziły za mąż, nie interesował ich już Uwik wolny ptak, wolały mieszkać z Maciejem, ze Zbyszkiem, z Andrzejem, ze Zdeńkiem, Jiżim, Karelem, bez fobii antyślubnych i antykapitalistycznych (choć z Pepikami różnie to bywa), przynajmniej wiedziały, co miały. Pozostały mu tylko do wyboru twardsze nieco sztuc-

ki, niezależniejsze, alternatywniejsze, w średnim wieku, zalegające Kreuz- und Prenzlauer Berge. Tym wystarczało, że zjawiał się co kilka tygodni, a nawet miesięcy, w międzyczasie milcząc jak zakłęty. Jedną z takich dziewczyn była fanatyczka ekologii Anita w slipkach z szorstkiej wełny, znali się jeszcze z Karl-Marx-Stadt. Kiedyś nawet odwiedził z nią Dietera i same z tego wyszły problemy. Bo Dieter zaserwował takie szwabskie dzióbki, pierogi, *Maultaschen* z supermarketu z lodówki, a ona, ciężko przerażona, poprosiła o opakowanie z kosza i przestudiowała sobie listę składników, po czym odmówiła spożycia, a Dieter się wściekł. Anita handlowała antykami, biegała po pchlich targach, po rozwiązaniach gospodarstwa domowego przez starców w drodze do domu starców, kupowała, sprzedawała, kombinowała. Kiedy Uwik kiedyś ją zapytał, czy da się z tego żyć, okazało się, że nie ma pojęcia. Natomiast Uwe jakoś radził sobie z pieniędzmi, żył po prostu bardzo oszczędnie, piwo i alkohol trąbił tylko za granicami Saksonii, jadał głównie niemiecką kuroniówkę, oglądał tylko afrykańskie filmy, z robieniem prania nigdy nie przesadzał, przecieradel nie używał wcale.

Błazen w Pradze

Przygody z dziewczynami i z Dieterem Uwik przeżywał także w Pradze, niezapomnianym rajem Enerdowców, zaraz po Budapeszcie. Tam gdzie melodyjny głos kobiecy w metrze cierpliwie tłumaczy podróżnym, jakie operacje i dlaczego należy wykonać: *ukonczite prosim wistup a nastup, dverze se zaviraji*. Wszystkie Dederony wiedzą już od dziesiątek lat, co to znaczy. Bo wszystkie Dederony uwielbiały jeździć do Pragi, bo to był jedyny ich Zachód. Nocowały na dworcu głównym *hlavni nadraži*. Leżały tam rzędem na ławkach dopóki nocą nie przyszła z pałą policja i nie zaczynała walić ich po zakutych – *samozřejmě* – łbach. To dopiero była pałowa. Gdy pierwszy w rzędzie zaczynał wyć, reszta zbierała manatki i boso albo w skarpetach, ze śpiworami pod pachą wiała w pobliskie krzaki. Ale my im rzecz jasna nie współczujemy, bo oni nam wszystkiego zazdrościli, walizy nam plądrowali na granicach z czystej, głupiej zazdrości. No więc tam właśnie jeździli w tę i w tę Dieter z Uwem, Uwe z Dieterem, a Dieter opowiada o tym tak.

Czy wiem, że Uwik raz go zostawił w jakiejś kamienicy w Pradze na dwie godziny na klatce schodowej. Do Pragi pojechali jak zwykle na dziko, autostopem, nie stać ich było na hotel, schronisk dla młodzieży prawie nie było, a jeśli były, to przepełnione, czy wiem. Plac namiotowy za daleko od Pragi. Uwik uparł się, że ma adres jakiejś Evy, że ta dziewczyna nas na pewno przygarnie. Było to krótko po Bożym Narodzeniu na początku 1984 roku. Uwik miał już wszystko obgadane. Więc godzinami tułaliśmy się metrem-autobusem aż do tych kamienic czynszowych, w których miała czekać na nas Eva. Uwik chciał z nią jeszcze raz pogadać wstępnie, i żeby kilka minut poczekał na korytarzu... Było zimno jak cholera, cały

tyłek sobie odmroziłem, aż w końcu się zniechęciłem. Nie wiedziałem, jak ma Eva na nazwisko, stawałem więc pod wszystkimi drzwiami i słuchałem, czy nie usłyszę Uwika. Gdy usłyszałem, zastukałem, i jakiś starszy człowiek, tak około czterdziestki – pięćdziesiątki, w końcu otworzył mi drzwi. Gdy Uwik mnie ujrzał-zobaczył, teatralnie złapał się za głowę: O ludzie, Dietex, byłbym o tobie zapomniawszy. Ojciec Evy wpuścił mnie do środka. Evy, uświadomił mnie Uwik, Evy dzisiaj w domu nie ma. Stary czmychnął w kierunku kuchni, zagadnąłem Uwika po cichu, Uwik, Uwik, czy on nas przenocuje? Uwik na to, nie wiem, chłopie, nie mogłem zapytać od razu, uwiklałem się na razie w konwersację. Nie możemy tak od razu na całego... Ojciec Evy przyniósł z kuchni śliwowicę, w szklanej z korkiem butelce, siemięźnie, nie tak jak dzisiaj. Mieliśmy kochana po dwadzieścia lat, nigdy w życiu nie grzaliśmy wódki, najwyżej piwo od momentu *Jugendweihe*, najwyżej kroplę rumu w herbacie. No czasem ostrzej w knajpie na przepustce, potem wracaliśmy do koszar, podpierając się domami, ale to był tylko jeden raz. Facet nalał nam do pełna śliwowicy do takich kieliszków długich. Gdy wychyliłem, stanęły mi łzy. Znać Uwikowi dałem, żeby o ten nocleg nagabywał, *Uli sagte: gleich*, i znowu puknięcie korka, i znowu Pepik nam dolewa. Tutaj byłem już prawie zalany, znowu Uwika błagałem, w międzyczasie trąbiliśmy dalej. O godzinie pierwszej trzydziści Uwe zagadnął, czy możemy się tu gdzieś przytulić. Karel wstał, musi spytać tylko żonę, zniknął w sypialni, po czym doszedł nas wielki tumult: *Co ty se zblaznil?*

Sama wiesz, nikt z was nie lubił Dederonów, ani wy, ani Czeši, ani nikt. Myśmy się sami tylko lubili.

Tanja Nawago. Dederon

„Ale pamiętaj, że nigdy się nie zapuściliśmy, zawsze świeżo umyć, wyszorowani i wypysznicowani, higieniczni, zęby umyte, na ciebie świeża bielizna”. Chociaż czy Uwik zmienił, Dieter tak naprawdę nie pamięta, bo z Uwikiem to jest trochę inna sprawa.

Uwik ma dziś problemy z higieną, chociaż to dla typowego Enerdowca nietypowe. W zeszłym roku spędzali z synami Dietera jak zwykle urlop zimą gdzieś w Słowacji. Eleganci i delikatny Linus, golący się nawet pod pachami, zreferował, co usłyszał w radio: Tato, czy wiesz, że 70 procent Niemców zmienia majtki co drugi dzień? Dieter rzecz jasna się oburzył, Uwe również, „no nie, pod czymś takim to się nie podpisuję, to rozrzutność, ja potrafię nosić prawie tydzień”. Nie znaczy to, że Uwik o świeżość nie dbał wcale. Zamiast prać, rozwieszał swoje slipki, skarpety, podkoszulki po całym pokoju w pensjonacie, na wszystkich krzesłach, kantach, żyrandolach, na czym się tylko dało. Nawet i przed wejściem do pokoju. Dieter z dziećmi prosił-błagał, że to obrzydliwe. Uwe mówił: Mnie to nie przeszkadza. W końcu jednak opatentował coś innego. Rozkładał gazetę pod łóżkiem i tam aranżował precyzyjnie

majtki, podkoszulki i skarpety, bardzo dokładnie i porządnie w rządkach, żeby się przewietrzyły. Trochę jakby dziwaczał pomału. Kiedyś w drodze na urlop na Dolny Śląsk zapomniał zabrać wystarczającą ilość slipków i Dieter nalegał, żeby nabył je po drodze drogą kupna. Uwik kupił je w końcu w second-handzie, mówi Dieter, zdaje się w „Tanja Nawago”. Tam więc, tanio na wagę, nabył Uwik slipki, były niestety tylko damskie, jasnozielone w białe kropki, ale to nic nie szkodzi.

O majtkach i bieliźnie w Enerdówku można by powiedzieć dużo więcej. Chłopcy szkolni zakładali zamiast majtek elastyczne kąpielówki, zwłaszcza wtedy, gdy mieli wuef. Gdyby pokazali się w kupionych przez mamę białych majtkach w rowki, wyśmialiby ich wszyscy kumple. A wuef mieli Enerdowcy jak wiadomo prawie codziennie, i to jeszcze jaki. Mogli więc wkładać bieliznę do prania tylko wtedy, gdy na drugi dzień nie było sportu. Czy wyobrażasz sobie, pyta Dieter, co to znaczy? W dodatku to był wszystko syntetyk, nylon, tylko że nazwa nylon była chroniona, wyobraż sobie, jak musieliśmy śmierdzieć, w tych majtkach i tych nylonowych bluzach od dresu, ciężki kult, na rękawach których Mutti pracowicie naszywała trzy lampasy. Na ich metkach widniał napis: „dederon”.

+ + +

Miejscem spotkań i pojednania Dederonów i Erefenowców w Pradze była, jak zeznaje Dieter, chociaż myśmy tam nigdy nie chodzili, olbrzymia knajpa z długimi rzędami ławek „U fleku”, gdzie sprzedawano ciemne piwo. Tam gromadzili się Niemcy ze Wschodu i z Zachodu, razem pili do upadłego, bratali się, brali w ramiona, wyli trochę za bardzo patriotyczne pieśni. Aż w końcu wkraczało do akcji komando czeskosłowenskiej milicji, pakowało Dederony na ciężarówkę niczym śledzie jeden na drugiego i wywoziło za granicę. Goście z Zachodu mogli ryczeć dalej.

Anita

Julicie po ich spotkaniu na początku 1983 roku Uwik już na listy nie odpowiadał. Bo Słowianki go fascynowały, lecz nie radził sobie z ich roszczeniami, marzeniami. Bóg wie jakie zagrożenie w tym widział. Małżeństwo, dziecko, i tak dalej, jeszcze może, nawet chyba, dom, grabienie ogródka teściowej – chociaż to by może nawet i robił. To już lepiej było jeździć do Anity. Wkurzał się co prawda strasznie jej dziećmi, bo mimo że wychowywała je na pozór ekologicznie, z apatycznym wyrazem twarzy tarzały się w domu przed telewizorem i żarły chipsy, coraz większe zgłaszając żądania i nic nie pomagając w gospodarstwie. Tęgo Uwik zrozumieć nie mógł, on sam, zwłaszcza od chwili, gdy został bezrobotny, gdy zredukowali

mu zasiłek do Hartz IV, zadowalał się praktycznie byle czym. Dąsał się więc Uwe na te dzieci, pouczał je i prorokował, co z nich wyrosnie za ziółko. Nie sprzyjało to klimatom w związku partnerów etapowym. Nie sprzyjało to niczemu w ogóle. Nawet jeśli nie można mu odmówić pewnej racji. Dziwne też było, że dziewczyna przyjmowała go wyłącznie w kuchni i w sypialni, nie wpuściła go nigdy do salonu. Zgadał się później z kumplem, że tamtego na pokojach przyjmuje w charakterze porównywalnym. Tęgo Uwik już nie przeżył, nie wytrzymał. Bo to jest absolutne tabu, tego przyjacielowi się nie robi. Tutaj Uwe nie uznawał kompromisów, tutaj trzymał się utartych szlaków, norm. Zerwał więc był z kumplem i z Anitą.

Kiedyś dostał na Boże Narodzenie życzenia od Julity, taką świąteczną kartę z pozytywką, z melodią „Cicha noc”. Rozdarł kopertę, otworzył kartę, zabrzmiała muzyka, chciał ją zamknąć, muzyka grać nie przestawała, manipulował, nic to nie dawało, aż w końcu rozszarpał mechanizm, karta spadła mu na podłogę i jeszcze chwilę – pogrywając chrapliwie – kręciła się po podłodze jak bąk.

Schwester Koom

Potem Uwik poznał *Schwester Koom*, czyli z saksońskiego siostrę Karmen. Była pielęgniarką z Chemnitz, z kręgów „wolnej szkoły”, mieszanek antropozofów z montessorami. Wysyłali tam swoje dzieci przedstawiciele awangardy, bo tylko wśród takich Uwik zwykł był się obracać. Koom miała dwóch synów, od dwóch różnych partnerów życia. Pierwszy z partnerów wsiąkł jej całkowicie, drugiego Uwik lubił i znał, nawet się z nim mocno przyjaźnił i spędzali razem Wigilie, czasem sobie razem ponarzekali na przeróżne przywary pielęgniary. Tyle razy jej mówili, błagali, prosili, a ona nigdy nie odmrażała lodówki na czas, potem jej się nie domykała, zużycie prądu gigantyczne było, a ona jakby nigdy nic. Piła herbatę z łyżeczką w filiżance, ser z talerza brała gołymi rękami. Pastą do zębów smarowała zlew, na ubraniu zawsze miała jakieś plamy.

Bo Uwe, opowiada Dieter, Uwe dostawał dziewczyny w spadku po swoich kumplach. Dawał tym dziewczynom to, co miał. A miał zdolności adwokackie, giełdziarskie, gawędziarskie, więc troszczył się przede wszystkim o sprawy sądowe, akcje i rozrywkę siostry Koom. Ona zaś bezskutecznie próbowała zaprowadzić mu w mieszkaniu feng-shuja.

Skończyło się to wszystko tym, że Koom podała Uwika do sądu, nie mówiąc o tym, że się z nim rozstała. Koom od początku wiedziała, że z Uwikiem coś nie jest w porządku i powtarzała mu cały czas, że powinien iść do doktora od fisiów, *Uwe, du musst zum Maisendoktor gehen*. Po czym Uwe tylko pukał się w czoło i odpowiadał, *er sieht das nicht ein*, czyli że nie widzi takiej konieczności i potrzeby. Z tym oskarżeniem było tak. Koom miała poważny wypadek na autostradzie, jadąc z koleżanką i jej dziećmi gdzieś na wczasy, bo Uwik byczył się

w tym czasie gdzieś z Dieterem. Pękła jej przy szybkości 140 km na godzinę opona i Koom rąbnęła samochodem w barierkę, cudem zresztą wszyscy to przeżyli. Życie życiem, ale Uwe w tym wszystkim najbardziej interesowała opona i związane z tym kwestie prawno-finansowe, o jakich kiedyś słyszał na zajęciach uniwersyteckich. Robił wszystko, żeby odszkodowanie za wypadek zapłacił producent wybrakowanych opon, prawdziwie się w tym wyżywał, oponował. Przy czym trzeba wiedzieć, że Uwik wszystko robi na ostatnią chwilę. Terminów dotrzymuje nieraz dosłownie w ostatniej sekundzie, to dla niego taki jakby sport. Oskarżenie w sprawie opon można było złożyć w ciągu dwóch lat od daty wypadku. Uwe miał więc 24 miesiące, zrobił to rzecz jasna w dniu ostatnim, niemniej jednak zrobił. Jak zwykle krótko przed dwudziestą czwartą pobiegł na dyżurną pocztę, i prośbę państwa stempel uzyskał.

Automat

Kiedy Uwik jest akurat w takiej fazie, w fazie szaleństwa i bieganiny, bo akurat próbuje dotrzymać jakiegoś terminu, a dzieje się tak przeważnie krótko przed wspólnym urlopem z Dieterem, wtedy zupełnie z nim nie pogadasz, normalnie nic ustalić nie można. Gania jeszcze w nocy przed wyjazdem przez całe Chemnitz zatopione we śnie, między trzema mieszkaniami, swoim starym, gdzie składuje „Freie Presse”, do którego zagląda mu sąsiadka, swoim nowym, gdzie mu śnieg sypie do salonu, i mieszkaniem matki, w którym jada. Szaleje, wiatr rozwiewa mu poły, hektycznie poszukuje różnych rzeczy. W końcu rano nie udaje mu się złapać pociągu i musi się ratować wymówką, że i w tym wypadku wszystko jakoś jednocześnie zważyło mu się na głowę, *es ist alles zusammen gekommen*, i oczywiście zapomniał zabrać ze sobą co najmniej pół bagażu. Co właściwie jest *zusammen gekommen*, pyta go Dieter, a on na to, że tak, po pierwsze, troszkę za późno wyszedł z domu, po drugie, nie miał drobnych do automatu, żeby kupić bilet, taksówek żadnych nie było, autobus – z powodu budowy – jechał inną trasą, po trzecie, pociąg tym razem wyjątkowo odjechał 10 minut wcześniej ze względu na *Sonderfahrplan*.

Ach, z tym automatem! A propos z tym automatem! Uwik raz nie kupił biletu na pociąg (nigdy na tej trasie nie sprawdzali) i miał zapłacić wysoką karę. Uwe się z konduktorem nie zgodził, powiedział, że nie zapłaci, że nie widzi takiej konieczności i potrzeby, bo automat przecież był zepsuty, kompletnie *kaputt*. Tak naprawdę zepsuty nie był, ale, wykladał Uwik Dieterowi, przecież mógł być w zasadzie zepsuty i też by człowiekowi kazali bulić. Więc on poświęci się teraz za wszystkich, których kiedykolwiek spotkał lub spotka taki los.

Kolej więc aktualnie sprawdza, czy automat rzeczywiście nie działał w czasie, w którym Uwik chciał kupić bilet, a nie mógł. Uwik cwany namówił przyjaciela, żeby złożył skargę na koleję, że automat dokładnie wtedy odmówił także jemu posłuszeństwa. W takich kwe-

stiach niedoszły adwokat przejawia kreatywność niesłychaną. No bo co, gdyby ten automat nie działał naprawdę. Uwe, przekonywał go Dieter, ale przecież nie będziesz procesował się za ludzi, którym *mogło* to się przydarzyć. Właśnie że będę, *doch*, to są świnię, upiera się Uwik. I zanim kolej to załatwi, wyjaśni, zanim kolej się obejrzy, bo podzielona jest na tysiąc małych podfirm, którym podlegają automaty, Uwik już wygra proces i to będzie jego taki mały automatyczny triumf nad przerostami systemu, kalkuluje.

Wróćmy jednak do siostry Koom. Uwik złożył jej w terminie skargę na producenta opon i wydawało się, że wszystko jest w normie. Koom w tym czasie rozstała się już z Uwą, bo nie chciał do doktora pójść od fisiów. Wkrótce potem dostała wezwanie do sądu, bo są jeszcze jakieś trudności, bo trzeba dostarczyć coś jeszcze. Wściekła na Uwika, że nie dokończył całej sprawy albo załatwił ją nie tak jak trzeba, posłała po adwokata, ten zaś zniweczył pracę Uwa. Koom straciła wszystko, a musiała jeszcze dopłacić 800 euro za prawnika. W tym momencie straciła też cierpliwość, oskarżyła sędownie Uwika o zrobienie, jak to się po niemiecku mówi, *gówna*, i wystąpiła o zwrot rzeczonych eur. To postępowanie karne do dzisiaj wisi nad Uwem.

Wysoki Sądzie

W mieszkaniu, tym, w którym mieszkał naprawdę, wygięte były drzwi balkonowe, a trzeba wiedzieć że w Chemnitz mocno śnieży. Przez szparę w drzwiach zasypany Uwemu do salonu. Zgłosił problem do administracji, nic się nie działo, nie stało, więc – bo jest to w Niemczech możliwe, jeśli jakość życia cierpi na uszczerbku – samowolnie zmniejszył czynsz o 10 procent. W końcu zebrały się z tych procentów trzy miesięczne czynsze i właściciel dach mu nad głowę wypowiedział. Uwik do sądu, Wysoki Sądzie, miał nadzieję, że sąd sprawdzi, czy miał rację, czy mu naprawdę sypie ten śnieg, czy miał prawo do obniżki czynszu, ale sąd się tym zająć nie raczył. Sąd tylko stwierdził, że Uwe Kaiser faktycznie z czynszami zalega, nie ma więc o czym mówić. Tak to jest w gospodarce rynkowej, w państwie prawa, biednemu wiatr w oczy, gdzie heblują tam wióry lecą, nikt nie mówił, że będzie lekko. Chcieliście coca-cola to ją macie. Ja to chciałem socjalizmu z ludzką twarzą, wzdycha Dieter. Chciałem byłem móc jeździć po świecie.

Uwik wściekł się oczywiście dogłębnie, aż zadzwonił nawet do Dietera. Dieter na to: Uwiku rozumiem, ale weź ty lepiej ureguluj, to ci może cofną wymówienie. Sędzia ostrzegł, no niekoniecznie, bo mogą chcieć się pozbyć freaka.

Ja, powiedział

I tak się też właśnie stało, mieszkanie mu w końcu wymówili.

Ale Uwik ma jeszcze na szczęście ten magazyn, w którym mieszkał dziesięć lat temu, po

którym błdzi wieczorami cichaczem, gdzie sam zasiada przy okrągłym, wielkim stole, kłuczy między piramidami gazet. Którejś zimy woda zamrzła tam w rurach. Także i ten właściciel postanowił remontować, sprzedać za fortunę, i wpadł na genialny pomysł. Powiadomił lokatorów, że nie będzie nic już naprawiać, ale jak długo tam z tą zamrożoną wodą mieszkają, nie muszą czynszu płacić, tylko jakieś opłaty podstawowe. Zaoferował im nowe mieszkania, wszyscy ofertę przyjęli, tylko Uwe Kaiser nie. Ja, powiedział, się nie wyprowadzę, i nikt mnie do tego nie zmusi. Został w kamienicy sam.

I trzyma to mieszkanie już od dziesięciu lat, bo nic go to prawie nie kosztuje. Taki magazyn nigdy nie zaszkodzi. Ma nadzieję, na jakieś gigantyczne odszkodowanie, znowu chce być Uwik spryciarzem. W latach dziewięćdziesiątych zresztą tak się naprawdę zdarzało, można było zgarnąć dziesięć do dwudziestu tysięcy marek odszkodowania za nagłe wypowiedzenie. A nawet do pięćdziesięciu, jeśli właścicielowi bardzo zależało, żeby pozbyć się lokatorów.

Zaproponowali mu pięć tysięcy i koszty przeprowadzki, ale to było Uwemu mało. Jakież motory starej enerdowskiej produkcji z Karl-Marx-Stadt tam na pierwszym piętrze poustawił, jakież sobie warsztat urządził. Drewno zaś przechowywał, żeby nim po pierwsze opalać, a po drugie, żeby mieć coś na prezenty. Kiedyś znalazł je po prostu na dworze. Jakiś dom remontowali, wielkie belki zdjęte z dachu wały się po ulicy. Uwik zaniósł je do magazynu na barkach, w pocie czoła poszatkował i posiekał, po czym porządnie poukładał w kartonach po bananach. Na pięciu piętrach na klatce schodowej całej kamienicy te kartony z drewnem poupychał. Dla przyjaciół i rodziny pod choinkę i na urodziny. Zwłaszcza dla tych, którzy mieli kominki i kominy, którzy jakoś się w życiu urządzili. Na przykład dziesięć, dwadzieścia kartonów. To było kilka tygodni Uwe Kaisersa ciężkiej pracy, którą chętnie brał na swe barki.

Proces

Wiele wysiłku włożył Uwik w to, żeby tę ogromną kamienicę utrzymać, żeby się nie rozwaliła, nie rozpadła, troszczył się, chuchał – dmuchał, zabiegał. Firanek wszędzie ponawieszał, światła chodził palić, buszował po pustych mieszkaniach niczym upiór – strasząc samego siebie. Wciąż mu się ktoś włamywał, i po jednym z kolejnych włamań Uwik, bo chciał być znowu cwany, podał do administracji, że ukradziono mu śruby specjalne o wartości 6000 euro. Tak naprawdę nic mu nie zginęło. Nie wiadomo skąd miał tyle śrub, jeszcze z czasów byłej NRD. Czy wiesz dlaczego, pyta mnie Dieter, dlaczego mówi się dzisiaj w „byłej” NRD? Czy w Polsce też się mówi w „byłym” PRL-u? Wieki całe procesował się o to z ubezpieczeniem, aż w końcu zdaje się coś dostał. W tym się zresztą Dederony wycwaniły, śmieje się figlarnie Dieter, w tym wyciąganiu kapitału z ubezpieczeń! *Pfiffig muss man sein!* Innym razem jednak z czymś przeholował, zdaje się, z rzekomo konieczną naprawą bojlera, którego

i tak nie używał. Robił to tylko dla sportu, żeby dokuczyć olewającej dom administracji, to jest właśnie ten jego fisiumiś.

W końcu więc Uwik się doigrał, przegiął pałę. W końcu Uwikowi wymówili zgodnie z paragrafem o nieopłacalności. Nie opłaca się Uwego trzymać, bo przynosi większe koszty niż zyski. Mimo terminowego odwołania Uwe przegrał sprawę. Ale sąd nie mógł mu dostarczyć wyroku. Kamienica była szczelnie zamknięta, zabezpieczona przed rabusiami, listonosz nie mógł dostać się do środka. Na zewnątrz Kaiser skrzynki odmontował, nie chciał przecież tego wyroku. To właściciel znów skrzynki zamontował. Uwe zaglądał tam codziennie, wciąż odrywał tabliczkę ze swym nazwiskiem, żeby listonosz czegoś tam nie wrzucił. Albo całą skrzynkę odkręcał, a właściciel przykręcał ją na nowo.

W tej sytuacji wywieszono oficjalne ogłoszenie w sądzie: Obywatel Uwe Kaiser otrzymał wypowiedzenie i jest to zgodne z prawem. Potem jeszcze w prasie codziennej. Uwik się od tego odwołał. Mnóstwo było tych jego odwołań, oburzeń. Po ostatniej rozprawie sędzia ze znaczącym uśmiechem podszedł do Uwika jak człowiek, przecież znali się jak lyse konie: „No panie Kaiser, może tym razem wręczę panu wyrok osobiście?”

„Nie, Wysoki Sądzie, Uwe na to, puścimy go klasyczną trasą”.

Exodus

Klasyczną trasą próbował też dostarczyć Uwemu formularze na przedłużenie zasiłku Jobcenter, ale że coś się komputerom kompletnie pokręciło, przestali wysyłać na skrytkę pocztową, zaczęli na adres domowy, gdzie skrzynki jak wiadomo nie było. Obywatel Uwe Kaiser, stwierdził urząd, tu nie mieszka. W ten sposób Uwik pozbył się zasiłku, chleba. A wszystkie listy, które w klasyczny sposób wysyłała mu Julita od chwili, kiedy zmienił mieszkanie, wracały do Wanne Eickel. Pisała, że Klaus dla niej niedobry, że jej nigdzie z domu nie wypuszcza, że nie wie, gdzie szukać pomocy.

Tymczasem Uwę prawie jednocześnie pozbawiono obu mieszkań i chłopak popadł w panikę. Wisił nad nim ostateczny termin eksmisji i opróżnienia całego magazynu, komornik już na niego czyhał. Uwe nie wiedział, dokąd się podziać z gazetami, motorami, deszczuikami, gdzie to wszystko poupychać. Dieter mówił, stary, pomogę, wspólnymi siłami uporamy się z gazetami. Uwik błagał, kumpliu, nie mogę, tam w gazetach mam zdjęcia, listy, akt urodzenia, marki, które najwyższy czas wymienić na eura, znaczki pocztowe, liście kolorowe i świadectwa. Muszę przejrzeć wszystko, wołał Uwik, to przestępstwo! Muszę w tych gazetach przy okazji jeszcze coś poczytać! Niech przesuną tego komornika. Ja tam idę, załatwię, jest paragraf, będę krzyczał.

Wszyscy myślą, że to Uwik jest tym dziadkiem w ogródku, co straszy. Prima aprilis, nie, to bzdura. Sprawdzałam, temu w altanie równomiernie po obu stronach rośnie broda.

Ten na działkach to Uwika, co się rozwiódł, brat.

Ten w u-bahnach to znany polsko-niemiecki artysta podziemno-awangardowy wywodzący się ze środowiska gdańskiego undergroundu. Urządza happeningi krytyczne wobec zwyrodniałego kapitalizmu i oglupiałego społeczeństwa medialno-konsumpcyjnego: wykiwani wszystkich krajów łączcie się. Nazywa się Lopez Mausere. Kupił historię Uwika.

Ostatnio zaproponował, żeby zburzyć pomnik gigantycznej głowy Marxa w centrum miasta i postawić tam lepek Barbie. Sprzeciwiły się ale feministki.

Uwik na takie pierdoły nie ma czasu.

Biega po sądach, urzędach, przesuwa termin egzekucji.

Er hat wahnsinnig viel zu tun.

Ma cholernie dużo do zrobienia.